

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

ISABEL

Kiedy się tu wprowadziliśmy, pokój muzyczny był jedynym pomieszczeniem, które polubiłam. Nienawidziłam tego, że przenieśliśmy się z Kalifornii do stanu leżącego dokładnie pośrodku drogi pomiędzy dwoma oceanami. Nienawidziłam stęchłego zapachu tego miejsca i upiornych lasów wokół. Nienawidziłam tego, że przez przewodzkę mój gniewny brat stał się jeszcze bardziej rozgniewany. Nienawidziłam nawet pochyłych ścian naszej sypialni i skrzypiących schodów, i kuchni, w której zawsze były mrówki, niezależnie od wysokiej jakości wyposażenia.

Ale uwielbiałam pokój muzyczny. Był okrągły, ze ścianami w odcieniu głębokiego burgunda i pełen okien. Nie było tam nic poza fortepianem, trzema krzesłami i żyrandolem, który o dziwo nie był kiczowaty, biorąc pod uwagę resztę dekoracyjnego oświetlenia w tym domu.

Nie grałam na fortepianie, ale i tak lubiłam siadać na ławeczce, plecami do klawiatury, i wyglądać przez duże szyby na zewnątrz. Gdy tu byłam, w bezpiecznej odległości od lasu, już nie wydawał mi się tak upiorny. Może i czaiły się w nim potwory, ale nie mogły pokonać dwudziestu metrów podwórza, grubej na prawie trzy centymetry szyby i steinwaya. To był najlepszy sposób na doświadczanie natury.

Wciąż miałam takie dni, kiedy myślałam, że przesiadywanie w tym miejscu to najlepszy sposób, żeby radzić sobie z problemami.

Wieczorem wyszłam z sypialni, unikając rodziców, którzy rozmawiali ściszo w bibliotece, i zakradłam się do pokoju muzycznego. Cicho zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam po turecku na ławeczce przy fortepianie. Było ciemno, a za oknami widziałam tylko krąg trawy oświetlony przez lampę przy tylnym wejściu. Nie mogłam widzieć drzew, ale było to bez znaczenia. W lesie nie kryły się już potwory.

Nałożyłam kaptur bluzy na głowę i przyciągnęłam nogi do piersi, sadowiąc się bokiem na ławeczce. Miałam wrażenie, że w Minnesocie zawsze jest zimno. Wciąż czekałam, aż nadejdzie lato, ale na tej szerokości geograficznej temperatura chyba nigdy nie była zbyt wysoka.

Nagle powrót do Kalifornii przestał mi się wydawać złym pomysłem. Miałam ochotę zakopać się w piasku i spać, aż przestanę czuć się taka pusta w środku.

Kiedy zadzwoniła komórka, drgnęłam i niechcący uderzyłam łokciem w klawiaturę fortepianu. Rozległ się niski, głuchy łomot. Nie pamiętałam, że nadal mam telefon w kieszeni.

Wyciągnęłam go i spojrzałam na ekran. Dzwonił Sam. Naprawdę nie miałam ochoty brzmieć jak Isabel, którą wszyscy znali. Dlaczego nie mogli dać mi spokoju na ten jeden wieczór?

Przyłożyłam komórkę do ucha.

– Co?

Po drugiej stronie linii panowała cisza. Zerknęłam na ekran, żeby upewnić się, że połączenie wciąż trwa.

– Słucham? Halo? Jest tam kto?

– *Da.*

Poczułam, jakby w moim ciele nie została ani jedna kość. Zsunęłam się z ławeczki, próbując przytrzymać telefon przy uchu, i w ogóle utrzymać głowę w górze, bo moje mięśnie wydawały się kompletnie niezdolne do pełnienia swoich funkcji. Serce dudniło mi w uszach; dopiero po chwili uświadomiłam obie, że mój rozmówca powiedział coś jeszcze, a ja nawet tego nie usłyszałam.

– Ty... - warknęłam, bo nie mogłam wymyślić nic innego. Byłam pewna, że reszta zdania zaraz do mnie przyjdzie. – Napędziłeś mi stracha, ty draniu!

Roześmiał się, tym samym śmiechem, co wtedy w klinice. A ja zaczęłam płakać.

– Teraz Ringo i ja mamy jeszcze więcej wspólnego – powiedział Cole. – Twój ojciec postrzelił nas obu. Ile osób może się pochwalić czymś takim? Dławisz się czymś?

Pomyślałam o tym, żeby podnieść się z podłogi, ale nogi wciąż miałam jak z waty.

- Tak. Tak, dokładnie! To właśnie robię, Cole.
- No właśnie, to ja. Zapomniałem się przedstawić.
- Gdzie byłeś?!

Prychnął lekceważąco.

– W lesie. Odradzał mi się *spleen* czy coś. Oraz niektóre fragmenty ud. Nie jestem pewien, czy moje najszlachetniejsze części wciąż działają. Czuj się zaproszona, żeby wpaść i zajrzeć mi pod maskę.

- Cole – przerwałam mu – muszę ci coś powiedzieć.
- Widziałem – powiedział. – Wiem, co zrobiłaś.
- Przykro mi.
- Wiem – przyznał po chwili.
- Czy Sam i Grace wiedzą, że żyjesz?
- Jeszcze zdążę się z nimi zjednoczyć w radości. Najpierw musiałem zadzwonić do ciebie.

Przez chwilę pozwoliłam sobie po prostu rozkoszować się tym ostatnim zdaniem. Starłam się je zapamiętać jak najlepiej, żebym potem mogła odtwarzać je w głowie w nieskończoność.

– Moi rodzice odsyłają mnie do Kalifornii za to, co zrobiłam. – Nie wiedziałam, jak to inaczej ująć, więc powiedziałam prosto z mostu.

Cole milczał przez chwilę.

– Byłem w Kalifornii – oznajmił w końcu. – Magiczne miejsce. Upał, ogromne czerwone mrówki i szare importowane samochody z wielkimi silnikami. Wyobrażam sobie ciebie tuż obok dekoracyjnego kaktusa. Wyglądałabyś przepysznie.

– Powiedziałam Grace, że nie chcę jechać.

– Kłamczucha. Jesteś kalifornijską dziewczyną z krwi i kości – powiedział. – Tutaj jesteś kosmitką.

Zaskoczyłam samą siebie, śmiejąc się szczerze.

– No co? – zapytał Cole.

– Znasz mnie jakieś czternaście sekund, z czego siedem zajęło nam migdalenie się, a wciąż wiesz o mnie więcej, niż wszyscy moi przyjaciele razem wzięci w tym cholernym miejscu – wyjaśniłam.

Cole zastanowił się nad tym.

- Cóż, znam się na ludziach.

Już sama myśl o tym, że siedzi w domu Becka z komórką Sama przy uchu, żywy, sprawiła, że poczułam ukojenie. Zaczęłam się śmiać do utraty tchu. Moi rodzice mogli sobie być na mnie wściekli do końca życia.

- Cole – powiedziałam. – Nie zgub tego numeru.